

Tomasz Merta: Wracając do Zdziechowskiego

Pytanie o sens lektury Zdziechowskiego sprowadza się w dużej mierze do tej właśnie kwestii – czy są to jedynie utyskiwania moralisty (cóż z tego, że często sensowne), czy też zaproszenie do czegoś więcej?



Gdyby Zdziechowski był jedynie prorokiem, przepowiadającym rychły koniec cywilizacji, istotnie można by uznać, że jego przesłanie jest równie drażniące i zbyteczne, jak przetykany sentymentalistycznymi błyskotkami język jego esejów. (...) Zdziechowski jest jednak nie tyle prorokiem, ile mędrcom i bystrym obserwatorem, który nie zamierza nas straszyć, ale raczej pomóc zrozumieć to, co się dzieje. Zrozumienie jest bowiem pierwszym warunkiem odnalezienia drogi ocalenia. Pesymizm Zdziechowskiego nie jest poglądem obezwładniającym,

odbierającym wolę działania, lecz wręcz przeciwnie – witalizującym siły twórcze, generującym bunt i pragnienie konstruktywnego działania.

W PRL ukarany za „zoologiczny antykomunizm” całkowitym przemilczeniem, w latach osiemdziesiątych stopniowo powracał do łask czytelników. Nie zdobył, rzecz jasna, szerokiej popularności, bo ta niezwykle rzadko dana jest filozofom, ale stał się pisarzem modnym, na którego wypadało się powoływać w salonowych konwersacjach, nawet jeśli nie przeczytało się zeń ani słowa. Marian Zdziechowski, bo o nim tu mowa – jeden z największych i najbardziej niezależnych polskich umysłów pierwszej połowy naszego wieku – powracał jednak nie tyle jako filozof, subtelny znawca romantyzmu i myśliciel próbujący pogodzić filozofię z wiarą chrześcijańską, ile jako radykalny krytyk współczesności, prorok nadciągającej zagłady. O jego atrakcyjności decydowała także rzucająca się w oczy odmienność rozumienia komunizmu.

Zdziechowski przemawiał zupełnie innym językiem niż ten, do którego przywykliśmy. To, co mówił, było o tyle świeże, że nie dotyczyło zakłętego kręgu marksizmu. Nie było ani próbą odnowienia marksizmu, ani wysiłkiem na rzecz jego przewyciężenia, ani też rojeniem o jego uszlachetnieniu czy uczynieniu bardziej humanistycznym. Zdziechowski – co bardzo dobrze widać w opublikowanym właśnie tomie esejów *W obliczu końca* – postrzegał bolszewizm nade wszystko jako katastrofę kulturową, fałszywą religię, historyczne upostaciowanie zła. Nie ukrywał religijnych korzeni swych poglądów, wręcz przeciwnie, nawet sądził, że tylko odrodzenie chrześcijaństwa może przynieść

ocalenie. Jako myśliciel chrześcijański bywał zresztą czasem nieco egzaltowany (i niespecjalnie ortodoksyjny), uważając, że ufać należy raczej spontanicznej sile wiary niż instytucjonalnej sile Kościoła. Polska schyłku lat osiemdziesiątych była krajem zerwanej ciągłości i pewnie dlatego głos tych, którzy przemawiali siłą utraconej tradycji, siłą głębokiego zakorzenienia w kulturze europejskiej, brzmiał donośnie i intrygująco. Czy jednak to, co pisał Zdziechowski, wciąż jeszcze ma dla nas znaczenie?

Powiedzmy sobie szczerze: język Zdziechowskiego dzisiaj drażni. Jest za bardzo czułościowy, zbyt przesycony emocjami, chwilami wręcz histeryczny. Ten sentymentalizm do pewnego stopnia można tłumaczyć miłością autora do romantyzmu albo też dowodzić, że nikt nie może pływać bezkarnie w oceanie młodopolszczyzny. Należy jednak postawić pytanie znacznie poważniejsze: czy rzeczywiście problem kryje się tylko w języku? Czy Marian Zdziechowski jest intrygującym filozofem, którego styl się zestarzał, czy też po prostu pisarzem anachronicznym? Co gorsza, wszystko wskazuje na to, że już wtedy, gdy Zdziechowski żył, wykładał i pisał, traktowany był jak człowiek z minionej epoki, z rewerencją, ale i poczuciem dystansu i obcości. Już wtedy był więc anachronicznym dziwakiem, człowiekiem mądrym, ale mądrym w sposób bezużyteczny. Jego świat – świat, którego czuł się obywatelem – przeminął bezpowrotnie. Tym światem, jak się wydaje, była XIX-wieczna Europa: oaza roztropnego, samoograniczającego się liberalizmu, który zmiękczył tradycyjny absolutyzm, zastępując go parlamentaryzmem. W parlamentaryzmie XIX-wiecznym, tej formie przejściowej między władzą absolutną a demokracją opartą na powszechnym prawie wyborczym, demagogowie i motłoch wciąż trzymanymi są za drzwiami, a polityka pozostaje grą oświeconych elit. Pierwiastek demokratyczny – jako że bardzo ograniczony – nie destrukuje dawnego porządku, a jedynie wzbogaca go i ożywia. Tradycja,

choć nieco nadwyrężona wysiłkiem radykalistów, wciąż stanowi fundament społeczeństwa i w znacznie większym stopniu niż sformalizowane prawo jest regulatorem ludzkich zachowań. Religia pozostaje drogowskazem dla większości ludzi, pomimo ciosów, jakie Kant wymierzył tradycyjnej metafizyce. Europa wiezie spokojny żywot. Zdarzają się oczywiście paroksyzmy wojen, są kraje uciemnione jak Polska, ale wciąż domniemywać można, że rzeczywistość ma swój sens, sprawiedliwość nie jest jedynie pustym dźwiękiem, a ludzkość zmierza raczej w górę, niż spada w dół. I oto nadciąga koniec – wojenna hekatomba, szaleństwo rewolucji.

Zdziechowski zdawał się swym współczesnym anachroniczny, bo jego czas biegł zupełnie inaczej niż ich. Gdy zegar większości ludzi wybijał godzinę radości i nadziei, jego zegar odmierzał już ostatnie minuty przed końcem – ostatecznym kresem cywilizacji. „Wyobrażam sobie Zdziechowskiego – pisał Czesław Miłosz – jak idzie ulicami Wilna, czytając z barokowych jak zawsze w tym mieście chmur tragedię oszalałej i skazanej ludzkości – a tuż obok orkiestra studenckiego balu gra jeszcze tango »Jak pantera co w złotej klatce« i młode istoty odbywają pierwsze wtajemniczenie w sprawy niepokojów, lęków, dotknięć, zapachów, dramatów serca”.

Gdyby Zdziechowski był jedynie prorokiem, przepowiadającym rychły koniec cywilizacji, istotnie można by uznać, że jego przesłanie jest równie drażniące i zbyteczne, jak przetykany sentymentalistycznymi błyskotkami język jego esejów. W końcu takich jak on proroków, głoszących „złą nowinę”, było w ostatnich dwóch stuleciach niezliczenie wielu – niemal wszyscy tradycjoniści przepowiadali upadek, degenerację, zagładę. Nowe pokolenia konserwatystów zawsze były z tego powodu w nie lada kłopotcie, bo samo ich zaistnienie

właściwie unieważniało dawne proroctwa. Moment zagłady był więc wciąż przesuwany w przyszłość, co nieuchronnie musiało zrodzić podejrzenie, że konserwatywna apokalipsa nigdy się nie dokona, że jest raczej rytualnym zaklęciem niż realną groźbą.

Zdziechowski jest jednak nie tyle prorokiem, ile mędrcem i bystrym obserwatorem, który nie zamierza nas straszyć, ale raczej pomóc zrozumieć to, co się dzieje. Zrozumienie jest bowiem pierwszym warunkiem odnalezienia drogi ocalenia. Pesymizm Zdziechowskiego nie jest poglądem obezwładniającym, odbierającym wolę działania, lecz wręcz przeciwnie – witalizującym siły twórcze, generującym bunt i pragnienie konstruktywnego działania.

Kres XIX-wiecznej Arkadii (ułomnej, lecz czyż rzeczy ułomne nie są jedynym ludzkim przeznaczeniem, skoro człowiek sam jest niedoskonały?), w której nawet wrogów łączyła nić porozumienia, co sprawia, że dziś z niejakim trudem rozróżniamy klasycznych liberałów od konserwatystów, położyła zdaniem Zdziechowskiego nie tyle wojna światowa – choć niewątpliwie jej rozmiary i okrucieństwo wstrząsnęły Europą – ile erupcja nacjonalizmu. Nacjonalizm znosił istniejące zawsze napięcie między tym, co własne, i tym, co dobre, nakazując bezwarunkowe opowiedzenie się za bezkrytyczną lojalnością wobec swojego narodu. Dla autora *W obliczu końca* naród był ważny, lecz pojmował go w duchu Krasieńskiego, jako byt dany nam ku wewnętrznemu doskonaleniu się, byt partykularny, ale niesprzeczny z uniwersalizmem chrześcijańskim, więcej nawet: będący jego koniecznym dopełnieniem. Nowe podejście wydawało mu się niemożliwe do przyjęcia, bo polityka stawała się w jego ramach raczej teatrem złych emocji niż laboratorium rozumu. Podejściu temu towarzyszyła skłonność do dostrzegania jedynie grup, nie jednostek, w

myśli Zdziechowskiego zaś indywidualny wymiar człowieczeństwa pozostaje zawsze najistotniejszy. Jeśli potępia on nacjonalizm czy demokrację, to przecież nie czyni tego jako zwolennik opresji, lecz jako przekonany indywidualista i obrońca wolności. Demokracja masowa i nowoczesny nacjonalizm jedynie łudzą ludzi rozszerzeniem sfery wolności, w istocie rzeczy bowiem zmierzają do uniformizacji, do podporządkowania człowieka władzy liczby.

Ta jednostkowa perspektywa jest tym, co u Zdziechowskiego szczególnie cenne. Nigdy nie zaciemnia jej obiektywizm suchych liczb. Liczby nie krzyczą i nie przemawiają do wyobraźni, pozostawiają więc nas nieczułymi nawet wtedy, gdy wyrażone w nich zostają największe zbrodnie i cierpienia. Tymczasem wrażliwość jest jedną z zasadniczych cech człowieczeństwa i musi zostać powtórnie obudzona, aby przeciwstawić się wzrastającemu w siłę barbarzyństwu. Okrucieństwo musi zostać zdemaskowane i odrzucone jako niegodne człowieka cywilizowanego, a może nawet człowieka w ogóle.

Rewolucja bolszewicka, która w mgnieniu oka zepchnęła rozległe imperium w otchłań barbarii, jest przede wszystkim dramatyczną erupcją okrucieństwa, wulkanem zbrodni, manifestacją zła i wobec tego jej wymiaru wszystkie inne dyskursy, wszystkie możliwe jej wyjaśnienia i usprawiedliwienia muszą ustąpić. Terroru nie można uzasadnić i nie można zapomnieć. Rewolucja zwraca się swym pierwotnym impetem przeciwko religii, traktuje ją jako swego najpoważniejszego wroga. Nie dzieje się tak przypadkowo – dowodzi Zdziechowski – bo przecież sam bolszewizm jest formą religii czy raczej kultem zła, prawdziwym satanizmem naszych czasów. Rzecz ma jednak głębszą jeszcze, jego zdaniem, przyczynę – przejście w kulturze europejskiej od teocentryzmu do antropocentryzmu.

Stawiając tak kategoryczną tezę (nie nową zresztą, bo w zmodyfikowanej formie obecną choćby w pismach Sołowjowa czy Bierdiajewa), Zdziechowski podważa arkadyjskość świata, którego dotąd bronił. To przecież w tym dawnym, staromodnym i pod wieloma względami sympatycznym świecie dokonało się przejście do antropocentryzmu, to wtedy zasiano ziarna zła. A skoro tak, to rewolucja bolszewicka okazuje się nie dramatycznym zerwaniem ciągłości, ale naturalnym zwieńczeniem wieku XIX. Jakże nie uznać pesymizmu za uzasadniony, skoro okazuje się, że i dawny świat skażony był tą samą chorobą, która teraz zabija cywilizację?

Czy istnieje życie po śmierci także w bytowaniu narodów i cywilizacji? Czy upadek religii, który dla Zdziechowskiego jest równoznaczny z końcem cywilizacji europejskiej, zamyka dzieje świata? Chwilami autor *W obliczu końca* zdaje się zbliżać do takiej tezy, by po chwili jednak wyruszyć na poszukiwanie ocalenia. Nadzieję daje dalsze cofnięcie się w przeszłość – do romantyków, którzy choć także byli indywidualistami, to przecież nie antropocentrycznymi, czyniącymi z człowieka miarę wszystkich rzeczy. Istotę jaźni upatrywali oni w jej pierwiastku boskim, w rzeczywistym związku z Bogiem. Ocalenie może zostać odnalezione tylko w powtórnym przemyśleniu i przeżyciu prawd religijnych. Tylko uświadomienie sobie skali zagrożenia – walki na śmierć i życie, jaką toczą Prawda i fałsz – i odtworzenie witalnych sił kultury może obdarzyć ludzi zdolnością do czynnego przeciwstawienia się złu. Trzeba znów wziąć w karby destrukcyjne instynkty, na powrót je przytłumić i skrzepować. Nie jest możliwe całkowite ich wykorzenienie, ale można znów zepchnąć je na margines. Odrodzona polityka nie powinna już zrywać związków z moralnością i religią, abstrahować od

tego, co, choć najważniejsze, wymyka się politologicznym analizom. Inaczej może jedynie powtarzać znieprawiony schemat – jak faszyzm powielający błędy bolszewizmu.

Na ile diagnoza Zdziechowskiego zachowała swoją aktualność? Komunizm i faszyzm są już w Europie jedynie smutnym i bolesnym wspomnieniem. Demokracja, pomimo swych licznych wad, okazała się jednak dostatecznie waleczna (i skuteczna), by się im zwycięsko przeciwstawić. Zdziechowski nie pozwala nam jednak spać spokojnie. Kultura europejska pozostała antropocentryczna z ducha, to, co polityczne, oddziela się coraz wyższym murem od sfery moralności, a o religii powiedzieć można wszystko, tylko nie to, że krzepnie i potężnieje. Jeśli autor *W obliczu końca* ma rację, to z tych źródeł w jakimś najmniej spodziewanym momencie mogą wychynąć potwory. Cóż w takim razie czynić?



To, co pisze Zdziechowski, jest roztropne i

warte rozważenia, lecz myśliciel ten zdaje się dzielić z wieloma innymi filozofami pewną dotkliwą wadę: z jego analizy trudno wyprowadzić konkretne wnioski pozytywne. Jak zamienić ogólny postulat odrodzenia duchowego na konkretny program polityczny i czy zabieg

ten byłby rzeczą roztropną? Jak uczynić demokrację rozumniejszą, a politykę – bardziej moralną? Pytanie o sens lektury Zdziechowskiego sprowadza się w dużej mierze do tej właśnie kwestii – czy są to jedynie utyskiwania moralisty (cóż z tego, że często sensowne), czy też zaproszenie do czegoś więcej?

Tomasz Merta

Artykuł wszedł do zbioru tekstów Tomasza Merty *Nieodzowność konserwatyzmu*, wydanego przez Teologię Polityczną i Muzeum Historii Polski.